

# Fiodor Dostojewski

## Chłop Mareusz

...opowiem pewną historię — nawet nie historię — ot tak, pewne tylko odległe wspomnienie, które, sam nie wiem czemu, mam wielką ochotę opowiedzieć właśnie tutaj i teraz, na zakończenie naszej rozprawy o ludziach. Liczyłem sobie wtedy dopiero dziewięć lat życia... ale nie, lepiej zacznę od tego momentu, kiedy sobie liczyłem dwadzieścia dziewięć lat życia.

Był drugi dzień świąt wielkanocnych. Było ciepło, pogodnie, niebo błękitne, słońce wysokie, „ciepłe”, jaskrawe, ale w mojej duszy było bardzo ponuro. Wałęsałem się za koszarami, liczyłem pale mocnego ogrodzenia więziennego, ale nie chciało mi się liczyć, choć była to dla mnie zwyczajna rzecz. Już drugi dzień w więzieniu „trwała zabawa”; katorżników nie wyprowadzano do roboty, było mnóstwo pijanych, co chwila wybuchały we wszystkich kątach połajanki i kłótnie. Wstrętne, ohydne piosenki, majdany z grą w karty pod pryzami, kilku katorżników wyrokiem swych towarzyszy pobitych niemal na śmierć za szczególne rozpasanie leżało na pryzach; przykryto ich kożuchami w nadziei, że się wreszcie jednak ockną. Kilka razy już sięgano po noże — to wszystko przez dwa dni świąt umęczyło mnie do cna, aż czułem się chory. Nigdy zresztą nie mogłem znieść bez odrazy pijackiego rozpasania wśród ludu, a tu, w tym miejscu — szczególnie. W takie dni nawet władze nie zaglądały do więzienia, nie robiły rewizji i nie szukały alkoholu rozumiejąc, że trzeba dać się pobawić raz do roku nawet tym nieszczęśliwcom i że inaczej byłoby gorzej. W końcu gniew zapłonął w moim sercu. Spotkałem Polaka M-ckiego, politycznego; spojrzał na mnie ponuro, oczy mu zabłyśły, wargi zadrgały: *Je hais ces brigands!* — zgrzytnął do mnie półgłosem i poszedł. Wróciłem do koszar, mimo

że dopiero przed kwadransiem wybiegłem z nich jak szalony, kiedy sześciu tęgich chłopów rzuciło się jednocześnie na pijanego Tatara Hazina, by go uciszyć, i zaczęło go bić; bili go niedorzecznie, nawet wielbłąd by padł od takiego bicia, ale oni wiedzieli, że tego Herkulesa trudno zabić, więc go walili bez obawy. Teraz, wróciwszy, zauważyłem na końcu koszar, na pryczy w kącie, nieprzytomnego już Hazina niemal bez oznak życia; leżał przykryty kożuchem i wszyscy go omijali w milczeniu: byli wprawdzie zupełnie pewni, że do rana się ocknie, ale „kto wie, jeszcze człek, nie daj Boże, skona od takiego bicia”. Przecisnąłem się na swoje miejsce, naprzeciw okna z żelazną kratą, i ległem na wznak, z rękami pod głową i zamkniętymi oczami. Lubiłem tak leżeć: do śpiącego się nie przyczepią, poza tym można myśleć i marzyć. Ale z marzenia nic nie wychodziło: serce biło mi niespokojnie, a w uszach brzmiały słowa M-ckiego: *Je hais ces brigands!* Po co zresztą opisywać wrażenia, jeszcze teraz śnią mi się nieraz po nocach te czasy — i nie ma snów tak męczących jak te. Może czytelnicy zauważą, że do dziś prawie nigdy nie wspominałem w druku o swoim życiu na katordze, a *Wspomnienia z domu umarłych* napisałem piętnaście lat temu w imieniu zmyślonej osoby, rzekomo zbrodniarza, który zabił swoją żonę. A propos, dodam ten szczegół, że od tego czasu bardzo wiele osób myśli i twierdzi nawet jeszcze teraz, że zostałem zesłany za zabójstwo żony.

Po jakimś czasie rzeczywiście ni to się zdrzemnąłem, ni to się pogrążyłem we wspomnieniach. Przez całe cztery lata mego pobytu na katordze bezustannie wspominałem całą swoją przeszłość i myślę, że we wspomnieniach przeżyłem na nowo całe swoje dawniejsze życie. Wspomnienia przychodziły same, rzadko wywoływałem je świadomie. Zaczynało się od jakiegoś punktu, kreski, czasami niedostrzegalnej, a potem stopniowo przeradzało się w cały obraz, w jakieś mocne, jednolite wrażenie. Analizowałem te wrażenia, dodawałem do przeszłości nowe rysy, a przede wszystkim poprawiałem ją — poprawiałem bezustannie, na tym polegała cała moja zabawa.

Tym razem przypomniał mi się, sam nie wiem czemu, pewien przelotny moment z wczesnego dzieciństwa, kiedy miałem dopiero dziewięć lat — moment, zdawałoby się, zupełnie zapomniany przeze mnie, ale ja wtedy szczególnie lubiłem wspomnienia z wczesnego dzieciństwa. Przypomniał mi się sierpień na wsi — w naszej wiosce: dzień suchy, pogodny, ale niezbyt ciepły i wietrzny. Lato się kończy, wkrótce trzeba będzie jechać do Moskwy, znów się nudzić przez całą zimę na lekcjach francuskiego... Jakże mi żal się rozstawać z wsią!

Pobiegłem za gumno i zszedłszy do parowu wspiąłem się na Łosk — tak się nazywały u nas gęste zarośla po tamtej stronie parowu, ciągnące się aż do gaju. Zaszylem się w krzaki i słyszę, że nie opodal o jakieś trzydzieści kroków ode mnie orze samotnie chłop. Wiem, że orze posuwając się stromo w górę i że koń idzie z trudem, od czasu do czasu dolatuje do mnie okrzyk: „Wio, wio!” Znam prawie wszystkich naszych chłopów, ale nie wiem, który to z nich, zresztą wszystko mi jedno, jestem całkowicie pogrążony w swoim zajęciu, bo ja też

jestem zajęty: wyłamuję sobie gałązkę leszczyny na bacik, żeby smagać nim żaby... bicze z leszczyny są takie ładne, ale takie nietrwałe, nie ma porównania z brzoźowymi. Zajmują mnie również różne żuczki, robaczki i muszki, zbieram je, niektóre są bardzo ładne. Lubię też małe, zwinne, czerwono-żółte jaszczurki w czarne plamki, ale wężyków się boję. Zresztą węże trafiają się znacznie rzadziej niż jaszczurki. Grzybów tu niewiele, po grzyby trzeba iść do brzeziny, właśnie mam zamiar iść. Niczego w życiu tak nie kochałem, jak lasu z jego grzybami i jagodami, z jego żuczkami i ptaszkami, językami i wiewiórkami, z jego tak miłą mi wilgotną wonią zetkniętych liści. Nawet teraz, kiedy to piszę, czuje zapach naszej wiejskiej brzeziny: te wrażenia pozostają na całe życie.

Wtem wśród głębokiej ciszy jasno i wyraźnie usłyszałem krzyk: „Wilk biegnie!” Wrzasnąłem i nieprzytomny ze strachu, z głośnym krzykiem wybiegłem na polanę, wprost na orzącego chłopca.

Był to nasz chłop Mareusz. Nie wiem, czy jest takie imię, ale wszyscy mówili na niego Mareusz. Mógł mieć około pięćdziesiątki, silnie zbudowany, rosły, z mocno siwiejącą płową szeroką brodą. Znałem go, ale dotychczas nigdy prawie nie miałem sposobności z nim mówić. Usłyszawszy mój krzyk, zatrzymał swoją klacz, a gdy z rozpędu uczepliłem się jedną ręką jego sochy, a drugą — rękawą, zauważył, jak bardzo się boję.

— Wilk biegnie! — krzyknąłem bez tchu.

Podniósł głowę i mimo woli obejrzał się wokół, prawie mi uwierzywszy na moment.

— Gdzie ten wilk?

— Zawołał... Ktoś zawołał: „Wilk biegnie” — wybąkałem.

— Coś ty, co ty mówisz, jaki wilk, przywidziało ci się. Skąd tu może być wilk! — mamrotał dodając mi otuchy. Ale ja się trząsałem jak liść i jeszcze mocniej wczepliłem się w jego kapotę. Musiałem być bardzo błydy, bo patrzył na mnie z niespokojnym uśmiechem, widać lękając się o mnie.

— A to ci się przeląkł, aj, aj, aj! — kiwał głową. — Nie bój się, synku. Biedny mały!

Wyciągnął rękę i nagle pogłaskał mnie po twarzy.

— Nie bój się, Pan Jezus ma cię w swojej opiece, przeżegnaj się.

Ale ja się nie przeżegnałem. Kąciki moich ust drgały i to go musiało najwięcej uderzyć. Wyciągnął ostrożnie swój gruby, uwalany ziemią paluch o czarnym paznokciu i leciutko dotknął moich trzęsących się warg.

— A to ci dopiero, aj, aj, aj — uśmiechnął się do mnie jakimś macierzyńskim przeciągłym uśmiechem. — Rany boskie, a to ci dopiero!

Zrozumiałem wreszcie, że wilka nie ma i że wołanie „Wilk biegnie” było wytworem mojej wyobraźni. Było zresztą zupełnie wyraźne, ale takie krzyki (nie tylko o wilkach) słyszałem już raz czy dwa razy w życiu, choć nikt nie krzyczał, i wiedziałem o tym. (Później wraz z dzieciństwem te halucynacje minęły).

— To ja już pójdę — powiedziałem patrząc na niego pytająco i nieśmiało.

— Idź, idź z Bogiem, będę patrzył za tobą. Już ja ciebie nie dam wilkowi! — dodał z tym swoim macierzyńskim uśmiechem. — Idź, idźże z Bogiem! — i przeżegnał mnie, i sam się przeżegnał.

Poszedłem oglądając się za siebie co parę kroków. Póki szedłem, Mareusz cały czas stał ze swoją kobyłką i patrzył za mną, kiwając mi głową, ilekroć się obejrzałem. Muszę wyznać, że było mi trochę wstyd, że się tak przestraszyłem, ale wciąż jeszcze bardzo bałem się wilka, dopóki nie dotarłem przeszedłszy przez parów do pierwszej stodoły. Wtedy strach mnie zupełnie opuścił, i nagle nie wiadomo skąd wpadł na mnie nasz podwórzowy pies Wilczek. Przy nim poczułem się już całkiem pewnie i obejrzałem się po raz ostatni za Mareuszem: jego twarzy już nie widziałem wyraźnie, ale czułem, że wciąż jeszcze tak samo łagodnie uśmiecha się do mnie i kiwa głową. Skinąłem mu ręką, on mi też i ruszył za swoją klaczą.

— Wio, wio! — posłyszałem znów odległe wołanie, i klacz znów pociągnęła sochę.

Wszystko to nagle stanęło mi w pamięci, nie wiem czemu, ale z niezwykłą precyzją szczegółów. Raptem ocknąłem się i usiadłem na pryczy — pamiętam, czułem jeszcze na swojej twarzy łagodny uśmiech wspomnienia. Jeszcze chwilę wspominałem dalej.

Wtedy, po przyjeździe do domu od Mareusza, nikomu nie opowiedziałem o swej „przygodzie”. Cóż to zresztą za przygoda? I o Mareuszu także wnet zapomniałem. Spotykając go potem od czasu do czasu, nigdy z nim nie rozmawiałem nie tylko o wilku, lecz w ogóle o niczym — i nagle teraz, po dwudziestu latach, tu, na Syberii, przypomniało mi się to spotkanie tak wyraźnie, z najdrobniejszymi szczegółami. A więc musiało zapaść w moją duszę niepostrzeżenie, samo przez się i mimo woli, i nagle powróciło wtedy, kiedy było trzeba: przypomniał mi się ten czuły, macierzyński uśmiech biednego chłopca pańszczyźnianego, jego znaki krzyża, kiwanie głową: „A to ci dopiero, przeląkł się mały!” A zwłaszcza ten jego gruby, uwalany ziemią paluch, którym łagodnie, z macierzyńską czułością dotknął moich dygocących warg. Oczywiście każdy inny też uspokoiłby dziecko, ale tu, w tym spotkaniu na odludziu, zdarzyło się jakby coś zupełnie innego: gdybym był jego własnym synem, nie mógłby spojrzeć na mnie wzrokiem jaśniejącym większą miłością. A kto go zmuszał do tego? Był naszym własnym chłopcem pańszczyźnianym, a ja mimo wszystko jego paniczem; nikt się nie miał dowiedzieć, jak mnie przytulił, i wynagrodzić go za to. A może tak bardzo lubił dzieci? Bywają i tacy. Spotkanie zdarzyło się na odludziu, w szczerym polu, i tylko Bóg mógł widzieć z góry, jak głębokie i światłe uczucie, jak ludzka, jak subtelna, niemal kobieca czułość może wypełniać serce jakiegoś prostaka, zwierzęco ciemnego rosyjskiego chłopca, poddanego, który jeszcze wtedy nawet nie śnił, nie marzył o wyzwoleniu. Powiedzcie, czy nie to miał na myśli Konstanty Aksakow, mówiąc o wielkiej kulturze naszego ludu?

Więc teraz, zszedłszy z pryczy i rozejrzawszy się naokoło, pamiętam,

poczułem nagle, że mogę patrzeć na tych nieszczęśliwych zupełnie inaczej — nagle jakimś cudem znikła z mego serca wszelka nienawiść. Poszedłem przed siebie wpatrując się w napotymane twarze. Oto chłop z ogoloną głową, z napiętnowaną twarzą, pijany, wrzeszczący swoją ochryplą pijacką pieśń — przecież to też, być może, taki sam Mareusz, przecież nie mogę zajrzeć mu w serce!

Tego wieczoru spotkałem jeszcze raz M-ckiego. Nieszczęśliwy! Ten na pewno nie mógł mieć wspomnień o żadnych Mareuszach i żadnego innego poglądu na tych ludzi prócz: *Je hais ces brigands!* O tak, Polacy przeszli wtedy więcej od nas!

1876

Przełożyła Maria Leśniewska

---